

ŚNIATYŃ, 10 LUTEGO 1940 ROKU. CISZĘ NOCĄ PRZERWAŁO MOCNE PUKA-
NIE DO DRZWI. Słychać było wołanie:

- Odkrojl Odkroj, bo budu strielat!

Mama wyskoczyła z łóżka, nie zdążyła nawet włożyć podomki i tak
w nocnej koszuli, trzęsąc się z zimna i przerażenia, otworzyła drzwi.
Za mamą wyszedł szwagier. Soldaci weszli do mieszkania, a oficer zapy-
tał mamę:

- Wasza familia?

- Niziowa- odpowiedziała mama.

- Nu a co to za muzyk? - spytał ponownie. Po chwili przerwał milczenie:
- Nu, zbierajcie się, jedzicie do swego muzyka.

- Szwagier- dodała mama, - bo mąż jest aresztowany i nie wiem gdzie
jest...

- Da, da, prawilno - powiedział oficer.

Mama wzięła najmłodszą córeczkę na ręce, przytuliła ją mocno
do siebie. Basia miała zaledwie osiemnaście miesięcy. Bała się i płakała.
Wyrwana ze snu nie wiedziała co się dzieje. Po chwili mamie udało się
uspokoić dziecko i zaczęła je ubierać.

Oficer chodził po mieszkaniu i węszył, co cennego można wynieść
do samochodu lub schować do kieszeni. Tak zniknął zegarek taty,
jego obrączka, pierścionki mamy i maszyna do pisania.

Wyrwane ze snu cztery zbrodniarki wojenne: najstarsza miała 39 lat - mama, Kazimiera - 10 lat, Aurelia - 8 lat i Barbara - 18 miesięcy. Starsze dziewczynki ubierały się w pośpiechu. Na piżamki nałożyły sukienki, swetry i płaszcze, a na nogi śniegowce. Gdy były gotowe do drogi, żołnierz rzucił w ich kierunku szaliki i czapki, które na szczęście leżały na krześle. Nikt wtedy nie przypuszczał, że będzie to ich prawdziwa droga krzyżowa...

Traktowano nas jak bandytów, nie pozwolono nawet pożegnać się z rodziną. Soldat zwrócił się do oficera z pytaniem, czy pozwoli nam coś wziąć, ale ten powiedział, że jedziemy na wszystko gotowe, więc nic nam nie potrzeba. Żołnierz już nie słuchał dalszych wywodów przełożonego, lecz wrzucił na samochód pościel jaka była na dwóch łózkach; dwie pierzyny i poduszki, a spod łóżka dwie walizki. Mama wzięła na ręce Basię, do torby włożyła półlitrowy garnuszek i nocnik i lalkę. Byliśmy gotowe do drogi.

Czerwona pluskwa weszła dalej po kątach szukając nie wiadomo czego. Dolarów? Więcej złota? Soldaci dawali nam delikatne znaki, chociaż nikt w przerażeniu nie zwracał na nich uwagi. Związywali w toboły pościel z łózek, pakowali nasze walizki. Jeden podał mamie buty i szal, żeby nie jechała w pantoflach pokojowych. Ze stołu zgarnął do torby chleb i garnek z powidłami. Chwycił kielbasę leżącą na kredensie, lecz wujek powstrzymał go mówiąc, że to może zaszkodzić nam w podróż. - Durny! - odparł żołnierz z politowaniem w oczach. Pod szarym wojskowym szynelem i czerwoną gwiazdą na czapie tliły się ludzkie odruchy. Dopiero gdy znalazłyśmy się w wagonie dotarło do nas co zrobili żołnierze w tamtej chwili. Doceniłyśmy to, gdy z ciężarówki przesiadłyśmy się do wagonu kolejowego, który stał się naszym domem na wiele tygodni. Zajęłyśmy górną półkę, gdzie skierował nas żołnierz.

- Tam śpią kobiety z dziećmi- powiedział do awanturującego się chłopa.

Zamknięto za nami drzwi wagonu, ale mimo to pociąg stał na dworcu jeszcze trzy dni. Nikomu nie wolno było podchodzić do pociągu. Nie można było podawać nam dodatkowych bagazy. Traktowani byliśmy jak najgorsi zbrodniarze. Od tej pory byliśmy prawdziwymi jeńcami wojennymi.

W wagonie było bardzo zimno. Grzaliśmy się betami i własnymi oddechami. W środku znajdowało się około 40 osób, w większości kobiet z dziećmi. Były też dwie rodziny z mężczyznami. Tylko w naszej rodzinie były tak małe dzieci jak my. Ktoś powiesił koc osłaniając dziurę na ubikację. Z zewnątrz dochodziły do nas lamenty ludzi na stacji w Załuczu, nawoływanie rodzin, próby podania paczek dla rodzin uwięzionych w wagonach. Podobno i nas szukali sąsiedzi. Z rodziny nie było nikogo.

Nikt nie wiedział dokąd jedziemy. Wagony były pozamykane od zewnątrz, okna pozabijane deskami. Pociąg jechał nieustannie, jedynie nocami zatrzymywaliśmy się na stacjach. Między godziną 22 a 24 przychodził żołnierz ruski. Dwaj mężczyźni z naszego wagonu szli z nim po gorącą wodę i supę. Nie mieliśmy żadnego naczynia na supę, więc mama pożyczyla rynkę od Żydówki. Po kilku dniach jeden z Panów powiedział mamie, że Żydówka używała rynki do podmywania się, więc zdenerwowana mama następnym razem poszła po supę z własnym nikiem. Żołnierz w ostatniej chwili powstrzymał się od wiania supy do naczynia i poczekał aż zjemy z wiadra. Następnego nocy przyniósł mamie garnek, który zabrał z kuchni. Ten garnek służył nam przez cały pobyt na Sybirze. Był naszym jedynym naczyniem do gotowania. Po wojnie używaliśmy go również w Brzegu Dolnym przez wiele lat.

Jeszcze na ziemiach polskich, przed zmianą wagonów z polskich na ruskie, pewna Pani dawała mojej młodszej siostrzyczce codziennie jedno jajko. Po pewnym czasie jajka się skończyły.

- Mamo, daj Siasi jajko - powiedziała Basia

Mama przytuliła małą do piersi i się rozplakała. Wtedy siostra zwróciła się do miłej Pani z tą samą prośbą, lecz i ona się rozplakała. Wtedy Basia wzniosła rączki w geście błagalny ku górze i poprosiła:

- Boziu, daj Siasi jajko.

Wszyscy w wagonie zaczęli cicho łkać.

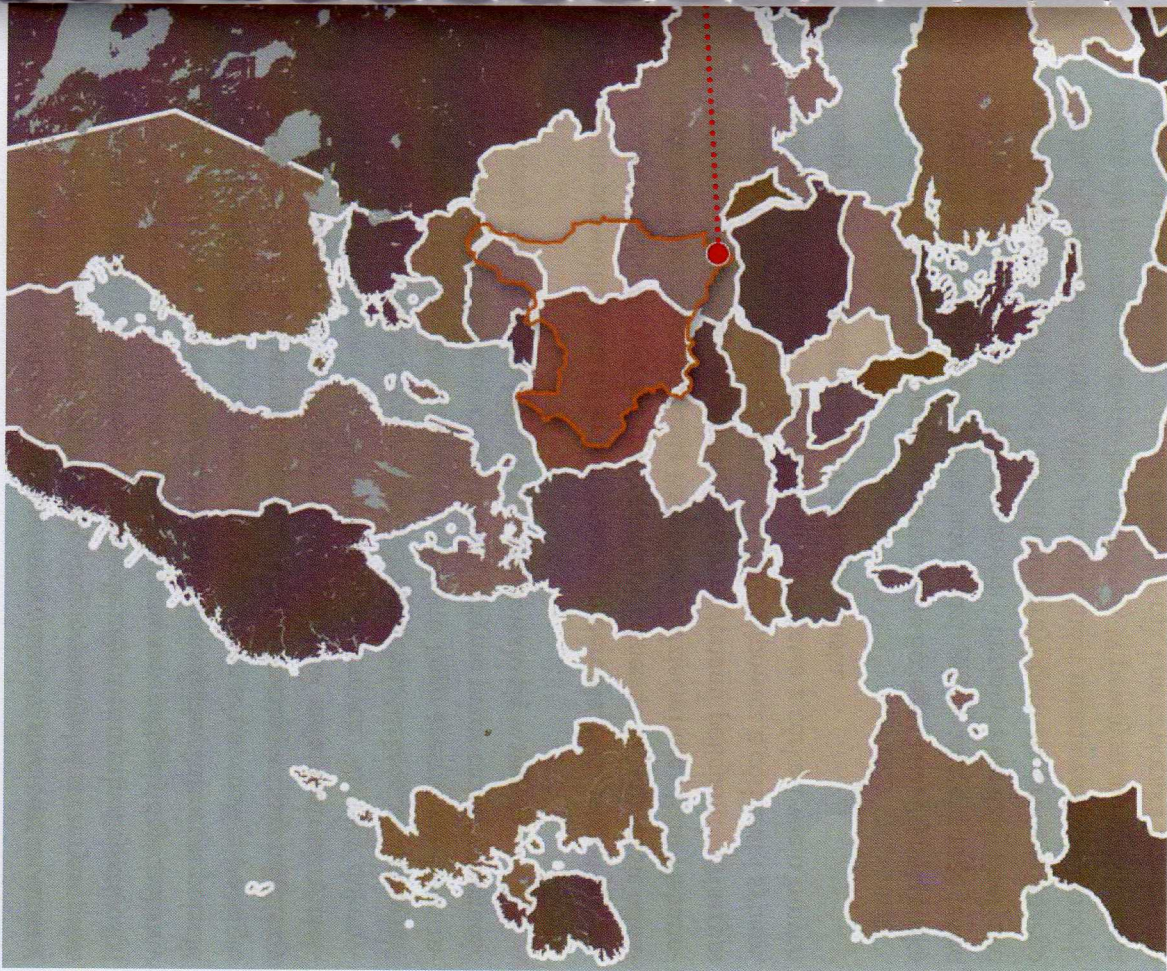
MARZEC, 1940 ROK. MINĘŁO SPORO CZASU NIM DOJECHALIŚMY NA MIEJSCE. Po drodze zdarzały się długie postoje w szczyrim polu. Nocami dołączano nowe wagony z wysiedleńcami z innych miejscowości. Była już połowa marca, słońce grzało trochę mocniej, gdy dojechalśmy do Zbrucza a nasze wagony zmieniono na rosyjskie. Żołnierze polecili nam przenieść wszystkie rzeczy do wyznaczonych w ruskim pociągu, który stał po drugiej stronie peronu. To był pierwszy raz, gdy mogliśmy wyjść z wagonu. Peron był drewniany, panował na nim straszny tłok. Niektórzy odnajdywali swoich bliskich i znajomych. Wszyscy dokonywali przeprowadzki, biegając między wagonami. Niektórzy mieli większe bagaże niż my. Zależało to od tego, kto kogo aresztował. Nam zabroniono brać cokolwiek czegokolwiek, jedynie przez cichą uprzejmość żołnierzy mieliśmy miałyśmy to, co znajdowało się w wagonie.

Mama pozwoliła nam na krótki spacer po peronie. Nasz wagon był pośrodku składu. Wszystkich było prawie pięćdziesiąt. W tym czasie odnalazła też dwie znajome: Panią Podgórką z dziećmi oraz Pani Plebanową Panią Plebanową z synkiem. Obie były żonami policjantów. Naszym transportem jechał jechali (?) także Pan Filipowicz z córkami i synem, Pani Stankiewiczowa z synem, Pani Olaninowa z córką i wielu innych znanych nam z widzenia ludzi z naszego miasta.

Ta fala ludzi przypominała procesję Bożego Ciała. Płynęła rzeka ludzi. Tu się nieładnie powtarza ludzi-ludzi, gdyby złożyć z tego jedno zdanie to byłoby zdanie z powtórzeniem - brzmiące bardziej poetycko albo nawet trochę biblijnie: Ta fala ludzi przypominała procesję Bożego Ciała, płynęła rzeka ludzi. Albo jednym ludzi można zastąpić synonimem, ale na razie nic mi nie brzmi dobrze. W pewnym momencie moja najmłodsza siostra wyrwała się mamie z rąk i na czworaka przeciskała

4 800 KILOMETRÓW Śniatyn, Obwód Iwanofrankowski
(obecnie Ukraina) - Semipalatynsk (dzisiaj Semey, wschodni
Kazachstan.

rys. Michał Wroński



się pomiędzy nogami ludzi. Po chwili znaleźliśmy ją niedaleko na skraju peronu.

- Mamo, Bozia dała Sasi jajko! - krzyknęła uradowana Basia trzymając w rękach jajko.

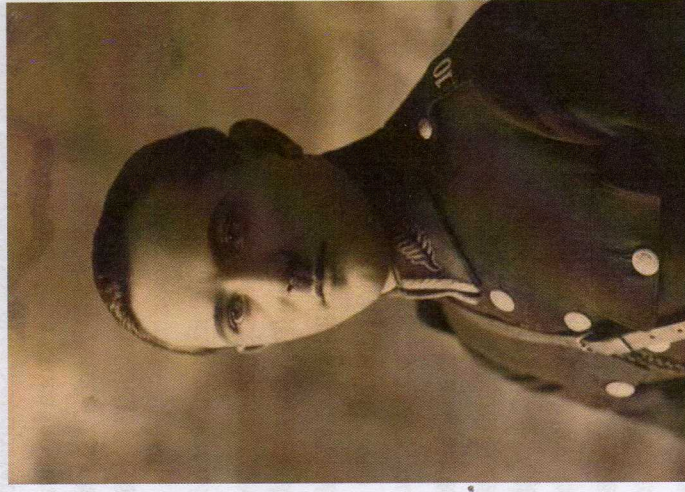
Uznaliśmy to za znak Boży, ponieważ jajko, symbol życia, spadło na peron i mimo potrącenia przez tłum nie stukło się ani nie zostało rozdeptane. Wszyscy z naszego wagonu uważali, że Bóg wysłuchał modlitwy Basi, dał jej jajko, a nam przywrócił nadzieję na przetrwanie tego, co miało nas spotkać.

*Mimo narodowego nieszczęścia, wygnania z Ojczyzny, rozłąki z krewnymi, z przyjaciółmi, zesańcy pokładali ufność i nadzieję w Bogu, że ich los odmieni. Nie przestali kochać. Czuli, że jest z nimi i chętnie się do Niego tuli. Wierzyli, że ich nie opuści. Gdziekolwiek pracowali, w lesie, na stepie, przy sphywie drzewa, przy budowie torów kolejowych, na sianokosach, w kamieniołomach, w kołchozie, zawsze i wszędzie odczuwali Jego obecność. Tę obecność przybliżał im majestat tajgi syberyjskiej, barwne stepy Kazachstanu, ciche, szerokie wstęgi rzek, wschodzące i zachodzące słońce, blask księżycy oraz zorza polarna. Choć wróg robił wszystko, by zesańców odgrodzić od Boga, odczuwali Jego Opaczność. W lesie znajdowali grzyby, maliny, jagody i wszelkiego rodzaju zioła, które chroniły ich od szkorbutu. Opaczność Bożą dostrzegali również w miłośierdziu odważniejszych, poczciwych Rosjan lub Kazachów, którzy po kryjomu spieszyli z pomocą lub dzielili się z polskimi dziećmi kawałkiem chleba.**

*O Łucjan Królikowski (OFM CONV), Gdzie był Bóg, [w:] „Zesłaniec”, 2011, s. 4

Przez ziemie rosyjskie jechaliśmy jeszcze jakiś czas. Drzwi wagonu cały czas były zamknięte od zewnątrz, ale mieliśmy otwarte okna, dzięki czemu wewnątrz wypełniało teraz światło. W czasie postoju nie wolno nam było wychodzić, a żołnierze wynosili od czasu do czasu zwiłki starców i dzieci, które którzy nie przeżyły podróży.

Po kilku tygodniach dowieziono nas do miejsca przeznaczenia - Semi-pałatyńska. To miejsce było naszym domem przez następne sześć lat, a także świadkiem wielkich dramatów, walki o przetrwanie, historii strasznych, ale czasem i zabawnych.



Stefan Nizio

BO GDZIE ŻYJĄ LUDZIE TAM ŁZY I ŚMIECH NAWZAJEM SIĘ PRZEPLATAJĄ.

Na pewno trudno sobie wyobrazić dwa i pół miesięca podróży w wagonie zamieszkanym przez czterdziści osób. Towarzyszył nam chłód, smród i głód. Wyszliliśmy na zewnątrz tylko raz.

Do dziś nikt nie wie ile trupów usiało tę drogę, ponieważ zwłoki wynoszono nocą. I chociaż rodziny wiedziały kto z nich został po drodze na wieki, to jechały z nami także osoby samotne, o których nikt nic nie wiedział i nikt już nie pamięta. Dzięki Bogu my przeżyliśmy. Staliśmy na torach stacji towarowej w Semipałatyńsku. Kazano nam wysiadać, podjeżdżały ciężarówki, na które ładowaliśmy się z naszymi tobołami. Przewieziono nas do osady Zatoń i zakwaterowano w oborach gdzie hodowano przed naszym przyjazdem świnię. Miejsce to nazywano Świnobazą.

Nakazano nam to miejsce uprzątnąć i w nim zamieszkać. Wszystkie Polki wynosiły resztki obornika, szorowały podłogi i organizowały miejsce dla siebie i swoich dzieci. Tylko wiara i nadzieja pomagały nam walczyć z upokorzeniem, chłodem i głodem.

Codziennie wywożono w nieznaną po kilka rodzin. Nikt nie wiedział dokąd jadą. U Sowietów to normalne - zabierają Cię i nie wiesz dokąd. W 1979 roku odwiedziłam dzisiajszą Ukrainę, ówczesne ZSRR. Gospodyni uraczyła nas obfitym, gotowanym śniadaniem. Powiedziałam jej, że my nie jesteśmy przyzwyczajone do tak obfitych śniadań, a ona odpowiedziała:

- U nas się je śniadania takie, żeby na długo starczały. Bo gdy wychodzimy z domów, nigdy nie wiemy, czy do nich wrócimy. Do tej pory zdarzają się wypadki, że ludzie przepadają bez wieści, chociaż minęło ponad trzy-

dzieści lat od wojny. Wtedy nie było sutych śniadań. Była wojna. Jednak zwyczaj zabierania ludzi bez informowania dokąd jadą, było normą.

W Świnobazie nie było pieca, ani kuchni, czy bieżącej wody. Przynosiliśmy ją ze strumienia, a za potrzebą chodziliśmy w step, zasypując nieczystości piachem. Utkwił mi w pamięci obraz Polek, które kopały dołki, na nich ustawiały garnki i tak gotowały wodę. Ogień wzniesiały porajając kamieniem o kamień, albo starając się zapalić trochę suchej trawy (burzanu) przez kawałek szkła i promienie słońca. Klimat w tym regionie jest typowo kontynentalny; chłodne noce, ale dni bardzo upalne.

Kiedy nasze mieszkanie- barak zostało doprowadzone do porządku nastąpiło lato. Zima ustąpiła na dobre, a klasyczna wiosna czy jesień w tamtych rejonach nie istnieje. Mama zorganizowała pierwsze pranie. Wyprała nasze okropnie brudne piżamki i bieliznę. Nie miałyśmy mydła, ale mama zalała popiół z paleniska wodą, a gdy woda się ustąpiła, namoczyła w niej nasze brudne ubrania. Gdy mama robiła pranie my hasaliśmy w pantalonach, w których wyglądałyśmy przestraszenie. W czasie suszenia prania, jakiś chłopak podpalił moją piżamę, ściągając promienie słońca szkłem na suchą tkaninę. Na szczęście ktoś ze starszych zauważył ogień i natychmiast ugasił pożar. Wypaliła się jedynie mała dziurka, ale i tak uznaliśmy to za ogromną stratę. Mama pożyczyła od kogoś nitkę z igłą i załatała dziurę. Była to pierwsza łamana rzecz, którą nosiłam. Nie ostatnia. Łatane stroje towarzyszyły mi aż do 1947 roku. W dwóch walizkach, które żołdat wrzucił na samochód w Śniatyniu było kilka ciuzzków: wełniana sukienka mamy, nasze letnie płaszczki, dwa marynarskie mundurki, lniane ręczniki, komplet białizny pościelowej oraz nocne koszule mamy z haftowanego batystu. Mama sprzedawała te ubrania za mąkę i kaszę, w bardzo niekorzystnym przeliczeniu.

W osadzie powoli zaczynał rozwijać się rynek handlu wymiennego. W Zatoniu udało się mamie wymienić nocną koszulę na garnek mąki, naftę, igłę i nici. Kupiła ją Kazaszka, która miała zamiar nosić ją jako sukienkę, ponieważ była kolorowa i haftowana. W ten sposób powiększył się nasz dobytek.

W tamtych warunkach, zesłane na koniec świata, nie mogliśmy cieszyć się pełnią wolności, ale w porównaniu z podróżą tygodniami w zatłoczonym wagonie, byliśmy prawie jak wolne. Niebezpiecznie było się jednak oddalać za daleko od obozu. Gdyby przyjechali milicjanci i stwierdzili, że kogoś brakuje, wywozili jego rodzinę, nie czekając na resztę, nie dając dokąd ich wiozą. Szczęście w naszym pojęciu to była możliwość przetrwania w warunkach jakie zastaliśmy. Nie luksusy, samochód, bogaty ożenek czy dom. Szczęście pamiętam, gdy mamie udało się ugotować dla nas zacierkę na wodzie lub kaszę.

Deportowani zostali rozwiezieni w trudno dostępne i bardzo nieraz odległe posiadki i odcinki pracy w lasach, jak to miało miejsce w Kraju Altajskim i Kraju Krasnojarskim, czy do oddalonych od szlaków komunikacyjnych kolchozów Kazachstanu. Oszacowano, że było aż 2500 różnej wielkości skupisk Polaków. Rozmiary tego przymusowego exodusu uprzytomnia nam bogata literatura wspomnieniowa, z której po wielokroć daje się wyraźnie odczytać los dzieci przebywających na zesłaniu w różnych rejonach Syberii. Odgrywa ona poważną rolę w weryfikacji in-

dywidualnych oraz grupowych sądów i opinii z tego zakresu. Nie poprzestając tylko na tym świadectwie, możemy także obecnie korzystać z różnych dokumentów archiwalnych wskazujących tropy wiodące do pełniejszego odtworzenia obrazu losu polskich dzieci na zesłaniu.*

Dni mijały i coraz częściej wywożono ludzi do innych miejscowości. Dla nas kolejnym miejscem był kolchoz Akszi. Był oddalony od Semipalatyńska o około 50-60 km, chociaż nikt tego dokładnie nie zmierzył. Na szlaku można było spotkać jedynie dwa lub trzy kolchozy oddalone od drogi (ujeżdżonego piaszczystego szlaku). Na samochód ciężarowy załadowano cztery rodziny: Panią Annę Somiakową z trójką dzieci: Kazimierą, Karolem i Wiesią, Panią Olaninową z córeczką Aldoną, która miała wówczas tylko półtora roku, Panią Orzechowską z dziesięcioletnim synem Tadzikiem oraz całą naszą czwórkę - Teofilę Nizio z dziećmi. Byliśmy w tym samym wieku co dzieci Pani Somiakowej. Pani Olaninowa pochodziła z tej samej miejscowości co my.

Do kolchozu jechaliśmy bardzo powoli, tłukąc się po okropnych wybojach. Wokół były tylko same stepy, od czasu do czasu kilka lepianek, które wskazywały, że istnieje tu jakieś życie. Jechaliśmy pod eskortą, na samochodzie siedział rusek z karabinem gotowym do strzału, jakby się bał, że kobiety napadną na niego albo uciekną. Wreszcie, po przejechaniu rzeczki, dotarliśmy do kolchozu. Milicjant, enkawudzista, podszedł do zgromadzonych Kazachów, którzy prawdopodobnie byli uprzedzeni o naszym przyjeździe. Długo i spokojnie im coś tłumaczył, aż tamci

* E.Trela-Mazur, Dzieci polskie deportowane w czasie II Wojny Światowej na wschód, [w:] „Zesłaniec”, 2011, s. 5

uspokoił się i przestali potrząsać widłami i siekierami w naszym kierunku. Kazachowie myśleli, że przybysze będą dzikusami, więc bali się nas. Oni też za bardzo nie przepadali za „czerwonymi”, bo pamiętali jak z nimi postępowano, gdy zakładano tam kolchozy. I mimo, że był to naród koczowniczy koczowniczy, bali się nas, bali się Polaków.

Polki, mimo iż przeżyły wiele w trakcie poniewierki i głodu, wciąż cieszyły się wyjątkową urodą, a ich ubrania były piękniejsze niż stroje gospodarzy. Kazachowie ubierali się zgodnie z wielowiekową tradycją. Kobiety ich nosiły długie szerokie suknie, coś w rodzaju białych koszul, czasem także barwnych, a na suknie nakładały surduty nabijane monetami i blaszkami. Na głowach nosiły przedziwnie wiązane chusty, których dwa końce równoległe opadały na plecy, a pozostałe dwa następująco: równoległy bok przykrywał czoło, potem wędrował za uchy uszy i pod brodą brodę, gdzie był wiązany na supel. Nadawało im to bardzo charakterystycznego wyglądu charakterystyczny wygląd, zupełnie obcego obcy polskiej kulturze.

Kiedy milicjant ostudził gniew tubylców zaprowadzono nas do ziemianki, która akurat była wolna. Potem poszliśmy do ziemianki, w której nas podejmowano. Była to ziemianka zarządzającego kolchozem- najstarszego Kazacha- wodza ludu. Zamiast nadziać nas na widły poczęstowali nas jadłem. W pomieszczeniu na ziemi leżały baranie skóry, na nich stał niski składany stół zastawiony jedzeniem. Była prażona pszenica, kurt (ser owczy suszony na słońcu) oraz woda z wygotowaną głową baranią. Rzuciliśmy się na jadło, by już nie czuć tego straszego głodu. Nie różniliśmy już smaków- słone, słodkie, kwaśne, gorzkie, dobre, niedobre... Znałyśmy jeden smak- nijaki i miałyśmy jedno pragnienie- jeść, jeść, jeść! Pszenicę dziubaliśmy jak wróbelki, nawet nam

smakowała. Ser choć śmierdzący, zjadłyśmy w oka mgnieniu. Potem nastąpiła chwila grozy - mojej mamie wiano do czaszki baranią wodę, w której pływało oko. Mama wzięła to oko i wybiegła z ziemianki, żeby je wyrzucić. Zauważył to gospodarz i wybiegł z rykiem za mamą. Przed pobiciem uratował mamę milicjant, który wytłumaczył Kazachowi, że przybysze z Polski nie znają ich zwyczajów i nie jadają baranich głów ani oczu. Kazach powiedział, że mama dostała takie tuste oko w drodze uznania, bo jest ładną kobietą i ma błyszczące zęby, co bardzo mu się podobało (mama miała złote koronki na dwóch zębach).

Relacje osób, wywiezionych w latach 40. XX wieku na południowe rubieże ZSRR, z mieszającą tam ludnością autochtoniczną należą do tematów spotykanych w literaturze naukowej. Ewa Kowalska w artykule pt. „Przystosować się lub zginąć” [...] skoncentrowała się na problemie dystansu deportowanych wobec ludzi różniących się od nich pod względem kulturowym. Zwracała uwagę, że do lokalnych obyczajów odnosił się oni z pogardą, zaś ich reakcją na prymitywizm otoczenia było dążenie do zachowania „standardu Polaka lub Polki” oraz separowanie się od miejscowej „dziczy”. [...] Z kolei Stanisław Ciesielski w jednym z rozdziałów książki „Polacy w Kazachstanie w latach 1940-1946. Zesłańcy lat wojny”, zajął się kwestią, jak zesłańcy oceniali postawy, które przyjęła wobec nich miejscowa ludność. Według przytoczonych tu relacji, tubylcy traktowali Polaków z dużą ciekawością, chętnie

z nimi handlowali, ale też odnosili się krytycznie do ich złych manier, jakie w mniemaniu autochtów posiadali przybywsze z Europy*

Kazachowie są z natury leniwi, więc ucieszyła ich perspektywa darmowej siły roboczej. Milicjant, który nas tam przywiózł wyjechał po około dwóch godzinach, zostawiając nas sam na sam z tymi dzikusami. Porozumiewaliśmy się z nimi na migi, ponieważ oni nie znali rosyjskiego, a my ich mowy, więc pozostawały nam ręce i to co mogliśmy zrozumieć z ich gestów. Pierwsza noc w kolchozowej ziemiance była straszna, a tęsknota za rodzinnym Śniatyniem, naszą małą ojczyzną, była ogromna.

Tej nocy mamie przysniło się, że dwaj aniołowie trzymają szarfę na zupełni czystym niebie, a na niej napis „Do domu wróćcie we wtorek o drugiej po południu”. Wszyscy uznali sen za proroczy i dający nadzieję na powrót, znak od Boga. Sen ten dodał kobietom otuchy, dzięki niemu wiedziały, że opatrność boska ich nie upuszcza. Tym smem moja matka żyła przez 6 lat.

Po sześciu latach, w majowy wtorek po południu wyjechalśmy na dobre do Polski, chociaż nie na swoje ziemie, to do Polski.

Ziemianki z zewnątrz miały około 1,5 metra wysokości, kolejny metr wkopane były w ziemię. W takiej ziemiance mieszkaliśmy do września. Do budynku szkolnego, zbitego z desek i drzewa, przeniesiono nas, gdy jakiś Kazach wrócił z owcami z wypasu. Ściany tego budynku były zimne, z mnóstwem szpar. Do palenia szukaliśmy krowiego łajna, czasami nad rzeką znajdowaliśmy suche szczapy lub wyrzuconą

* A. Milewska-Młynik, Młodzi Polacy wśród Kazachów, [w:] „Zestaniec”, s.15

na brzeg deskę. Nad brzegiem rzeki Irtysz znajdowaliśmy też przysmak: pokrzywy i lebiody oraz roślinę o zapachu czosnku, która nie była trująca i ją również włączyliśmy do naszej diety.

Nasze mamy zaczęły pracę w polu. Od świtu do nocy ciężko pracowały na wąskim pasie uprawnym przy samej rzece, gdzie rosły ziemniaki i pszenica. Praca była wyczerpująca, zupełnie ponad ich siły, a jedyną zapłatą było kilka garści pszenicy. Kazachowie uznali, że pracujące na polu Polki zupełnie wystarczą, dlatego ich żony mogły zostać w domu z dziećmi. Czasami i nas, dzieci, brano do pilnowania ich potomstwa, szczególnie tych najmniejszych, które wymagały noszenia na rękach.

W kolchozie było około dwudziestu ziemianek zamieszkanych przez rodziny, my - Polacy oraz stado krów, cztery woły i dwa wielbłądy, które służyły jako siła pociągowa. Nie pamiętam, aby w kolchozie były cielaki lub owieczki, ale pewnie gdy się któreś ociełiły to zjadano je po kryjomu. Gdy czasem padło jakieś zwierzę, to również je jedzono.

Kazachowie w naszym kolchozie nie byli bogaci, ponieważ brakowało im dobrego gospodarza. Kolchozy powstawały w latach trzydziestych, tuż przed wojną, nie zdążyły się nawet dobrze rozkręcić, a już wszystko trzeba było oddawać na wojnę. Dlatego stada bydła były takie małe, nie było cieląt, a sami Kazachowie woleli zjeść wszystko, zanim im pozabierają.

Nie garnęli się też zbyt do pracy i byli bardzo zadowoleni z pracy Polek przy uprawie, sianie i innych pracach polowych. Kazaszki często nas zatrudniały do mycia koryt, sprzątania ziemianek lub nianżenia dzieci. Niektórzy z nich zajmowali się łowieniem ryb, których w rzece było pod dostatkiem. Czasem i nam się dostała jakaś ryba, w zależności od połowów, dzięki czemu i my jadaliśmy potrawy z mięsem.

Pewnego razu spotkał nas większy zaszczyt niż mała rybka na obiad. Kazach łowił ryby, a nas ciągle przeganiał, żebyśmy mu nie przeszkadzały. Tak przynajmniej rozumieliśmy z jego gestów. Jednak pewnego dnia dwóch chłopców zrozumiało, że mają sprowadzić z osady pomoc. Coraz głośniejszy krzyczał, gdy rozpoczęła się szamotanina z czymś ogromnym na drugim końcu wędki (kija). Chłopcy sprowadzili dwóch Kazachów z widłami i siekierami. Potwór bity i cięty raz po raz w końcu uległ i został wyciągnięty na brzeg. Był to dwumetrowy sum, tak ogromny, że mógł połknąć małe dziecko. Z trudem wciągnięto suma do łodzi. Jego mięsa starczyło na miesiąc. Nam oddano głowę ryby, która również starczyła na kilka obiadów. Mama przygotowała lebidziankę na rybiej kości. Przez kilka dni świętowałyśmy, a zupa z głowy suma giganta smakowała jak wielkie-małe szczęście.

*Deportowanych musiały w pierwszym rzędzie absorbować przeszkody utrudniające wzajemne kontakty z autochtonami, a do takich należał dystans kulturowy, gdyż byli jedyną w historii zesań grupą skazaną na pobyt w osadach zamieszkałych przez tubylców.**

Pierwsze lato na zesłaniu powoli mijalo w atmosferze głodu, cierpienia i bez nadziei na lepsze jutro. Całe lato biegałyśmy w samych majteczkach, bo pozostałe ubrania trzeba było schować na chłodniejsze dni. Z nadejściem jesieni połowy ryb malały, a w perspektywie miałyśmy przeżyć lub śmierć. Zimowa temperatura spadała tu do - 40-50 stopni Celsjusza poniżej zera, więc nikt nie mógł przewidzieć co przyniesie jutro. Prace na roli zostały zakończone, a nasze mamy zaczęły pracować

* Ibidem, s.16

na ostrowie. Drogę na wyspę można było pokonać łódką albo wierzchem na koniu. Mamy codziennie przeprawiały się przez rzekę w przerażeniu. Za każdym razem strach ścisnął gardło, a znak krzyża jak telegram leciał do nieba wołając „Boże, nie opuszczaj nas, boimy się, tylko z Twą pomocą możemy tę drogę pokonać”. Wołania za każdym razem były wysłuchane i za każdym razem po przeprawie wracały do domu całe. Rzeka Irtysz była zdradziecka, mimo iż główny nurt był po przeciwnej stronie wyspy, droga do pracy naszych mam była bardzo niebezpieczna. Nasze mamy nie umiały jeździć konno i też trudno im było na koniu przeprawić się przez wodę. Kazach litował się nad nimi, i kolejno, jedna po drugiej przewoził do pracy. Opatrzność czuwała nad naszymi matkami, bo nigdy nie doszło do wypadku w tym niebezpiecznym miejscu.

Tymczasem lato gwałtownie umierało, ziemniaki były już wykopane, a zboże i siano zabezpieczone. Kończyły się ciepłe dni, powietrze pachniało przymrozkiem. W tamtym klimacie nie ma miejsca na wiosnę czy na jesień. Z dnia na dzień pojawia się zima. Naszym domem nadal był barak, przypominający szopę. W drewnianym dachu były dziury, ściany były nieszczelne, okna powybijane. Wspólnie staraliśmy się uszczelnić szopę trawą zmieszaną z błotem przyniesionym z nad rzeki. Ze względu na chłód nie mogliśmy się już tak często kąpać w rzece, przez co zaczęły nas nękać wszy. Nie było to nic nadzwyczajnego - Kazaszki codziennie iskały się przed swoimi ziemiankami.

Przed nadejściem opadów śniegu mama i Pani Olaninowa i Somnikowa wyruszyły po śladach kół samochodowych do miasta za chlebem. Przy nas została jedynie Pani Orzechowska. Pani Olaninowa wychodząc wzięła ze sobą córeczkę, bo było to jej jedyne dziecko. Droga do Żenasemiej trwała trzy dni, pokonały ją z wielkim trudem. Pani Olaninowa umiała trochę szyc, miała wielkie szczęście, bo otrzy-